

# WIEK I LUSTROWANY

## Dodatek niedzielny

### Raz na tydzień.

Nie wiem doprawdy, jaka jest złota litera obecnej epoki, ale zapewne jest nią „E”. Proszę bo sobie przypomnieć, ile nas „E” uszczęśliwia: elektryczność, ewolucya, emigracya, eutanazyja (aneryzm i samobójstwa), wreszcie etyka. Boże, co ja mam z tą etyką!... Co pewien czas spotykam się z jakimś zagadnieniem „etycznym” na dobie, jaką kwestyją postawioną co am populo i — ani rusz, nie mogę rozgryść twardego orzecha. Przepowiadam sobie dziesięcioro przykazań, radzę się sumienia i serca — i mam, jakby się zdawało, odpowiedź! Aha! mam... Zaglądam, niby w podręczniku matematycznym, do odpowiedzi, jaką dają różni specjaliści od etyki, a tam jest rozwiązań — dziesięć, albo i więcej... Zupełnie, jak w zrównaniach wyższego stopnia a wieloma niewiadomymi. Może być i tak, może być i tak!... Co prawda, zagadnienia etyczne, to istotnie zrównania wyższego stopnia, ale mimo to owa różnorodność odpowiedzi wywołuje zamęt. W dodatku etyka, jak wszystko dzisiaj na świecie, dąży do specjalizacji. Mamy tedy etykę adwokacką, która pozwala na branie spraw bez wyboru i na różne różności, ale skłonna do czujnego pilnowania, czy aby nazwisko kolegi nie figuruje gdzie w dzienniku w sprawozdaniu sądowym, czy kolega Y nie „re-

klamuje się” ogłoszeniem etc.; mamy etykę lekarską, która nie pozwala d-rowsi X ostrzedz chorego, iż dr. Y mógł popełnić na jego osobie jaką fatalną pomyłkę, ale każe równie pilnie czuwać, by dr. Z nie donosił o swych wyjazdach i przyjazdach i nie obniżał honorarium przez popieranie lecznic; mamy etykę kupiecką, która nie wstydi się nieraz szacherkki, ale ochrania zazdrośnie „tajemnicę handlową” wraz z plajtą, podstępem bankructwem i przyległościami; mamy etykę „ludzi mężnych”, którym wszystko wolno, nawet popełniać czyny niehonorowe, byleby potem „stać na placu”; mamy etykę dziennikarską, która...

Przepraszam! w tej chwili przypominam sobie, że byłoby wielce nieetycznym — „pluć we własne gniazdo”, zatem o tem rozgałęzieniu etyki zamilczę.

Koniec końców w tej sieci rozgałęzień i różnorodnych poglądów, istotnie łatwo stracić głowę. Rozumiem, że „tout comprendre c'est tout pardonner”, wiem, że nieraz odpowiedź w danej kwestyi zależy od punktu i kąta widzenia i że nieraz dwaj, zupełnie dobrej woli ludzie, patrzą na ten sam przedmiot z różnych stron i, rzecz naturalna, porozumieć się nie mogą, albowiem widzą zupełnie co innego; ale w kwestyjach etycznych dla dobra społeczeństwa, należy nareszcie ustanowić jakiś punkt i kąt stały, aby każdy nie mógł sobie odpowiadać według swego „widzi mi się”. Nie omylę się chyba,

sądząc, że takim punktem i kątem widzenia, powinna być etyka chrześcijańska, kulminująca w smutnym streszczeniu altruizmu: „kochaj bliźniego twego, jak siebie samego”, oraz te wszystkie jej uzupełnienia, które utrwalają byt rodziny i społeczeństw ludzkich. Wtedy nie byłoby może tyle zagadek w rodzaju takich, jak: czy defraudant jest złodziejem i czy złodzieja należy osadzić pod kluczem? lub czy szantaż albo bajeczna blaga mogą być szczeblem do zasługi? Dziś zaś, kiedy się słyszy rozprawy na temat takich zagadnień, w głowie się mięsza poprostu i, zdaje się, jakoby grunt sztywny stał się grzązkiem błotem, w którym więzną nogi i człek się zapada po szyję.

Ja bo, wyznaję, straciłem zupełnie ten grunt pod nogami i odczytawszy szereg rozpraw na tematy etyczne, zupełnie teraz nie wiem, co można, a co nie można.

Proszę sobie wyobrazić np. taki wypadek.

Przychodzi do mnie zaeny i pocziwy dr. A. M., wielki wogóle pessimista (zdaje się nawet i pod względem specjalnej etyki a może i blagi lekarskiej), ale człowiek wielkiej wiedzy i czystości przekonania i powiada:

— Wiem, że pan pracujesz do gazet, ostież więc pan moich kolegów, że od pewnego czasu krąży po przedpokojach lekarzy jakiś rzeźmieszek i poluje na futra. Podaje się on za lokaja hr. P. i wskazuje stale adres „Erywańska 3”, a gdy adres ten



Zator na Wiśle pod Pelcowizną.

(Inż. Kurcyusz, naczelnik III go dystansu sprawdza grubość spiętrzonych lodów inż. Nieclegiewicz zabezpiecza brzeg faszyną).

zapisują, zabiera co może. Tak okradł dr. O, oraz kilku innych, u mnie zaś, ponieważ nie zostawiono go samego w przedpokoju, świsnął tylko rękawiczki i chustkę z futra. Napisał pan to, a może gdzie owego rzeźmieszka złapią.

Jakoż napisałem, ale po napisaniu zrobiło mi się zimno... Przypomniały mi się rozprawy na temat ujęcia Humbertów i jak błyskawica przeleciało mi przez głowę:

— Denuncyant!...

Fu! brzydkie słowo! ale koniec końców stałem się — denuncyantem. Kto mi bowiem zaręczy, że ów rzeźmieszek był rzeźmieszkiem?... A może to był kleptomani (bardzo modne określenie), kwalifikujący się kontroli lekarskiej i dla tego odwiedzający właśnie lekarzy? A może to maniak, który na punkcie 10-stopniowych mrozów zachorował na manję posiadania futra?... A może to nieszczęśliwy, który teraz jest „ścigany jak zwierz dziki“... I ja naprowadziłem na jego tropy!...

Brr! czuję, że pot zimny zrasza mi czoło... Na szczęście przypomniałem, że Humbertowie „świsnęli“ parę milionów, a mój „nieszczęśliwy“ tylko parę fater i rękawiczki. Więc ja jeszcze nie popełniłem tak wielkiej zbrodni; to — ordynarny chyba złodziej, gdy tamci... Dalej przyszło mi na myśl, że i inni moi koledzy „zadenuncywali“ szantaż. Oczywiście, nie powinni byli tego czynić, bo może to tylko prosta „tajemnica kupiecka“, osłonięta opieką „etyki kupieckiej“, ale skoro tak postąpili, mieli widocznie jakąś po temu rację... Zresztą za cały ten epizod i jego szczegóły są oni sami tylko odpowiedzialni. Co ważniejsza natomiast, oto przyszło mi na myśl, że i dziennik prowadzący dyskusję o Humbertach i denuncyacji, „denuncyowała“ sama, „choć się już nieszczęście stało“, jakiegos felczera, który, szepiąc ospe, zaszczepił inne choroby i nie raz tak samo postępuje z różnymi „nieszczęśliwymi“, co się kryją po ciemnych kątach i nie radzi bynajmniej oglądać światła — dziennikarskiego...

Uspokoilem się nieco, ale nie zupełnie. Znowu uparcie dręczyła mnie myśl, że są przecież „organy“ od sadzania pod klucz rzeźmieszeków, bandytów, szantażistów, od wyświadczenia plagiatów, awanturników etc.—co tu więc ma do roboty „przejętny obywatel“. Zresztą „instynkt mas ludowych“. Aha, ten instynkt „hidalgów w łachmanach“... Wiadomo, że we Włoszech ludność nie wyda brygantów, a czyni to przez instynkt, brygantów przed brzydką denuncyacją. Co prawda, z ludności tej rekrutują się brygantów, a brygantów za „denuncyację“ umieją płacić wendetta, tem łatwiej, że historyczni karabinierzy „spóźniają się“ po dawnemu. I u nas znanego opryszka Malarskiego lud nie chciał „zdradzić“, bo przez „instynkt“ wiedział z góry czem to pachnie... Co najmniej spalaniem całego dobytku. Tak wygląda, jak mi się zdaje, ów instynkt mas ludowych. Co się zaś tyczy nie przyjmowania pieniędzy, pochodzących z „denuncyacji“, to pocieszyć się można, iż za to bardzo często przyjmowane są legaty z „brigantagga“ i innych pokrewnych źródeł. Jedno wyrównywa drugie

Nie tylko taka kwestya i zagadnienie moralne muszą niepokoić umysły i duchy szczerze etyczne. Kiedy się widzi podboje „ludzi silnych“ o szczękach bulldoga i wyrobionych łokciach, kiedy się patrzy na tryumf błagi i reklamy, na rozgłos szarlatanerii i orgie wielkiego bandytyzmu, wieńczone powodzeniem, a jednocześnie spostrzega się ludzi pracy społecznej, wiedzy, nauki, idei — zepchniętych w cień, jako „poczciwców“, którym przykleja się chętnie etykiety „naiwny“, „nudny“, „filister“ i — życiowo głupi, wówczas mimowoli rodzi się pytanie, czy przyszłość należy istotnie do tych silnych, a nie do tych moralnych. Jest to jakoby debiut militaryzmu i zasady „Macht vor Recht“ na arenie społecznej. Zdaje się, jakoby zbrojna jakaś prawica ścierała starą etyczną dewizę: „Słuszność jest moją siłą“, a pisała nową: „siła jest moją słusnością“.

Ale co najbardziej zasługuje na uwagę w tym zamęcie etycznym, to stanowisko kobiety.

Kobieta, która dotąd, przynajmniej w pewnym zakresie, odznaczała się dużym, instynktownym niemal poczuciem subtelności etycznej, dziś występuje w pierwszym rzędzie zdeprawowana i obłąkana moralnie. Uruchomione zastępy niewieście, niby entuzjastek, a właściwie histeryczek, plotą sute wieńce blagierom i reklamistom, biją oklaski bohaterom pięści i torują nieraz ścieżki bandytom. One to promują na ludzi zaślubi egoistów, one służą za szczeble do pięcia się „na wyżyny“ atletom i błaznom, one to taksują gladyatorów społecznych, jak patrycyuszki rzymskie lanisty.

Miałem sposobność mówienia z kilkoma kobietami starszemi i młodszymi o niektórych sprawach, kwalifikujących się do oceny etycznej i po prostu zdumiony byłem zanikiem poczucia etycznego. A jednak nie były to ani feministki, ani histeryczki, ale, jak to było widocznym, zdeprawowała je literatura i dziennikarstwo. Przyjmowały one

rzeczy drukowane bezkrytycznie, a jeśli zdobyły się na krytykę — krytykowały fałszywie. Nawet w stosunku do siebie samych popełniały błędy rażące. Tam, gdzie je obrzucano obelgą, widziały uznanie, gdzie je unurzano w błocie, widziały hołd niezaprzeczonego.

Trudno wyłącznie winić o powiększenie zamętu i deprawację moralności — literaturę i dziennikarstwo, ponieważ nie wiadomo, co tutaj jest właściwie przyczyną a co skutkiem, ale wolno się zastanowić nad niebezpiecznymi objawami i pomyśleć nad ich poprawą. Zdaje mi się, iż bardzo poważną rolę w sanacji etycznej mogłaby odegrać pedagogika, szepiąc czyste ideały moralne w duszach przyszłych pokoleń. Że taka reakcja względnie do ideałów praktycznych staje się niezbędną, dowodem tego Ameryka. To społeczeństwo miliarderów i prostych robotników, to zbiorowisko jednostek na wskroś praktycznych indywidualności o „szczękach bulldoga“, silnej pięści i twardych łokciach, nagle w zakresie pedagogiki zaczyna się zwracać ku celom idealnym, aby zrównoważyć zbyt daleko sięgającą „dzielność“ i aby ustanowić jakieś granice etyczne, które oddawna przekroczył — miliarder. Mysłmy w tej dziedzinie nie dorównali oczywiście amerykańskiemu, ale i u nas granice etyki zostały w tyle. Nie wiem, czy etyka ogranicza dzielność, ale wiem, że wytyka jej inną drogę a przodem wysyła zasadę miłości bliźniego. Wiem natomiast, że ogranicza ona egoizm, robotę pięści, spekulację i spekulacyjne miliony oraz miliardy. Jestem zaś pewny, że społeczeństwo nie zubożałoby ani nie zniżyło się cywilizacyjnie, gdyby dzielność jednostek zechciała iść w parze z ideałami etycznymi.

W związku z pracą pedagogiczną powinna iść i praca dziennikarstwa, które chce być i być powinno sumieniem publicznym

Od pewnego czasu zarysowało się u nas wśród młodych coś w rodzaju grupy etycznej, ale miast wyjaśnienia sytuacji, wprowadziła ona tylko nowy zamęt. Miast zasad stawiała ona kwestye osobiste. A jednak przydałaby się u nas bardzo zasadnicza akcja etyczna, któraby na łamach prasy rozjaśniała poglądy i krzewiła czyste ideały moralne. Wtedy sama przez się przyszlaby i reakcja przeciw egoizmowi, bładzemu, reklamie, bandytyzmowi uprawnionemu, szantażowi, zuchwałej spekulacji i tym podobnym objawom „dzielności“. Wtedy złodzieja nazywanoby złodziejem, a protestującemu przeciw kradzieży nie przyklepiano tytułu „denuncyanta“. Branoby rzeczy seryo, ale nie — tragi-komicznie, jak się to nieraz dzisiaj dzieje z podeptaniem praw etyki.

Jak gdyby na potwierdzenie słów moich wpada mi właśnie w ręce jedno ogłoszenie w dziennikach. „Laskawy złodziej“ (czemu nie „szanowny złodziej“) proszony jest o zastawienie „laskawie“ skradzionej szpilki w lombardzie i odesłanie kwitu pod wskazanym adresem. Prawda, jaka to wysoce etyczna rozmowa ze złodziejem w dzienniku?... A zapewne wszystkie trzy instancje: autor ogłoszenia, pośrednik i — odbiorca nie rozumieją całej brzydoty moralnej podobnego dyalogu. Oto do czegośmy doszli!

Mazur.

### Tragedya karnawałowa.

WSTĘP. Tylko ludzie bezmyślni i płacy, w porze roku zwanej karnawałem dopatrują się wyłącznie szalu, zabaw i weselości.

Filozof natomiast umiejący przesiewać przez sitko maliny, wszystkie objawy życia społecznego, filozof patrzący na świat przez szkła czyste bez skazy, zakupione w składzie grzebieni, pozytywek, foteli składanych i innych wyrobów optycznych, nie daje się unosić pozorom.

Oto tragedia i dramat, jakie udało mi się wyłowić ze spienionych i nieco przymańczonych fal zapust tegorocznych.

### MAJONEZ I ZAJĄC.

Państwo Fidrygalscy są rodzicami czterech dorodnych i doletnich córek, dla których postanowili urządzać wieczorek na szerszą skalę.

Mąż i ojciec doręczył „swojej duszce“ 50 rub. na kosztą subtelnego przedsięwzięcia. O rejwachu i zamęcie połączonych z przygotowaniem do balu mówić nie będę, tembardziej, iż nikt mi specjalnie za tę fatygę nie zapłaci.

Pani Fidrygalska od kwadransa obraca w rękach pięć monet sześciorzędowych, kiwa głową na wszystkie możliwe strony, myśli, rozważa, kalkuluje i szepce zakłopotana:

— Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, że 50 rub. jest to coś. Tymczasem po głębszej rozwadze dochodzi się do wniosku, iż 50 rub. jest to właściwie nic. Froterka 2 rub., wódki 6, przekąski... śledzie, kawior szczerowiślany... losos, chociażby tylko kilkanaście plasterków dla dekoracji... masło, ser... sardynki... przynajmniej 5 rub. A grajek, a lokaj, a pranie firanek, trzy funty świec, nastroje

fortepianu, wynajem porcelany, krzesel... Wszystko to pięknie, lecz jakże to może być kolacya? Zkąd wezmę pieniędzy na kolacyę? Przecież nie dam im kielbasy z kapustą... Z uwagi na cztery moje córki byłoby to nawet nieestetycznie... och! głowa moja głowa, znikąd ratunku, znikąd pomocy...

Do pokoju wpada jak bomba, jedyny syn państwa Fidrygalskich, Wszebor, chłopak nie zły, lecz wisus i urwipoleć jak rzadko. Od dwóch lat piastuje urząd pomocnika przepisywacza w wydziale poszczerebionych kół w zarządzie kolei. Otrzymuje do 40 rubli pensyi miesięcznej i cały ten skarb rozprasza na bilardach, w kawiarniach, w cukierniach.

— Oj Wszeborze, Wszeborze—myśli stroskana matka — gdybyś ty się prowadził inaczej i bardziej szanował pieniądze... Teraz oto bardzo by się przydał twój współdział finansowy...

Młody pomocnik przepisywacza utkwiał głowę w rozwartej na oścież szafie kredensowej. Zapelnie zapchał sobie usta pozostałościami z obiadu, że aż mu się uszy trzęsą i mówi głosem, jak gdyby wydobywanym z grobu:

— Podobno urządzenie bal?

— Urządzamy mój synku—odpowiada przygnębiona niewiasta i właśnie...

— To świetnie! — prawi Wszebor nie wylaząc z kredensu. — W takim razie będzie majonez i zajac.

Matka drgnęła.

— Zkąd będzie?

— W tem już moja głowa. Daję mamie na to słowo honoru.

I znikł i przepadł jak gina i przepadają młodzi ludzie, którzy po najedzeniu się resztkami obiadowymi spieszą co siły na partyę kregielków.

Pocziwej pani Fidrygalskiej spadł ciężki kamień z serca.

— Niechże mu ręce ozłocieją! — mówi wpadłszy do pokoju dziewięć.

— Komu i za co?

— Zawsze powtarzałam że głowa zapalona, lecz złote serce.

— Czyjeż

— Wszebora oczywiście. Wyobraźcie sobie, ten poczciwy chłopak wszedł w nasze ciężkie położenie. Dokłada się do kolacyi balowej i to hojnie i to szeroko. Dostarcza nam majonez i zajacę. Teraz dam sobie radę, teraz zadaniu podołam! Dobry, zacny chłopak!

— Przecież raz się ustatkował! — zabrzmiały trzy soprany i jeden alt i wszystkie cztery dorodne panny Fidrygalskie puściły się w płasy dziekczynne.

Upłynęło pięć dni i wybiła nareszcie doba, w której w domu tych zacnych ludzi miały się odbyć igrzyska.

Matka upilnowała chwilę stosowną i przytrzymała za potę Wszebora gdy jak zwykle zrana po wypiciu herbaty wybierał się do biura.

— Cóż kochanie, jakże tam majonez i zajac? Bardzo na to liczę...

Młody człowiek na ręce matki złożył czuły pocałunek.

— Niech mama będzie spokojną. Wszystko załatwione. Punktualnie o 11-ej wieczorem stawią się...

— Zkądże się stawią?

— Z restauracji „Pod wiewiórką“.

Syn odszedł do pracy, matka należycie uspokojona pograżyła się w licznych i wielce skomplikowanych zajęciach gospodarskich.

Podczas obiadu naprędce podanego była mowa pomiędzy innymi o zajacu i majonezie.

Wszebor jak zawsze nisko pochylony nad talerzem, stałym swoim zwyczajem odpowiadał lakonicznie i zwięźle.

To jedynie zrozumiano, że zajac mający być ozdoba wieczery dzisiejszej, odznacza się niezwykłymi rozmiarami.

— Janko czy widziałeś go?

— Także zapytanie! Nie miałbym go widzieć! Co zaś do majonezu nie grzeszy on co prawda zbytnią wielkością, niemniej przedstawia się bardzo, bardzo obiecująco.

Jednem słowem — dokończył, ocierając usta — niechaj mamę o to głowa nie boli i wogóle nie rozumie jak można tak wiele mówić o tych rzeczach. Jest to mój prosty obowiązek brata, posiadającego cztery siostry na wydaniu.

Bal rozpoczął się pod wróżbą jak najlepszą. Ani jeden z gości zaproszonych nie chybił i listownie nie wymówił się od uczestnictwa.

Przemysłna pani domu obliczyła:

— Jeżeli mój kochany Wszebor dostarcza kolacyę to sam rozum dyktuje, że oszczędności tą drogą osiągnięte, mogą ulokować w gładszej froterce i jaskrawszem oświetleniu sali.

Starania i zabiegi skrzętej gospodyni zostały przez ogół tancerzy przyjęte z entuzjazmem.

Tem się właśnie tłumaczy fakt, czemu tańczono z zapalem, a nawet z pewnego rodzaju zawziętością i czemu wszyscy młodzi ludzie ociekali potem, oczy zaś tancerki polyskiwały blaskiem oddawna na zebraniach prywatnych niepraktykowanym.

O godzinie 10-ej pani domu z rozkoszą spoglądała na znikanie wódek i przekąsek.

— Owszem, owszem! — wołała uradowana — to wam zaostriży moi panowie apetyt na kolację.

Godzina 10<sup>3/4</sup>. Pani Fidrygalska głosem cokolwiek zaniepokojonym szeptała do syna:

— Z tem wszystkim ten majonez i zając.

— Tylko co ich patrzeć..

— Obawiam się aby nie było opóźnienia

— Niech się mama nie martwi

Godzina 11 m. 36. Ochota tancerzy nieco przychyla. Ogół coraz częściej rzuca spojrzenia w stronę pokoju stołowego na którego środku piętrzy się stół zastawiony przyborami do majonezu i zająca.

Matka do syna:

— Możebyś tak kochanie pobiegł do restauracji?

Posłuszny Wszebor godzi się i na tę propozycję. Ledwie jednak znikł w przedpokoju gdy natchmian powraca i mówi z miną rozjaśnioną:

— Jeżeli mamie tak bardzo zależało to już są!

— Do stołu, do stołu! — zawołała uszczęśliwiona — Panie grajek proszę poloneza! Parami moi państwo, parami! Proszę zajmować miejsca, panowie przeplatają panie.. Noże, widelce, talerze, wszystko oczekuje na drogich moich gości.

Towarzystwo rozsiadło się. W pokoju zapanała cisza maćcona jedynie „kruczeniem“ w żołądkach.

Pani Fidrygalska uderza w dłonie i woła rezolutnie:

— Podawać na stół!

Otworzyły się z głośnym skrzypem drzwi jadalni

Wszebor puszcza przed sobą dwóch mężczyzn świeżo przybyłych:



— Mam zaszczyt państwu przedstawić: Ignacy Majonez, Damian Zając, moi koledzy biurowi.

F R

### Pijany.

(Baśń grecka).

U stóp śnieżnego Olimpu leżało senne turkusowe morze, a w niem przegłądały się oliwy nadbrzeżne, gaje laurowe, mirty, ciemne sylwetki cyprysów, jasny szmaragd łąk i białe ściany skał obnażonych. Nad Olimpem, nad gajami, nad łąkami i skałami paliła się bursztynowa lampa słońca, którą coraz nowymi promieniami podsyczał Fojbos, a w blaskach i upale dojrzewało wino.

Po skałach, bielejących w słońcu, pełzały najpierw węże szmaragdowe, potem poczęły stroić się w bursztyny i ametysty, aż wreszcie z gron napeczniałych tryśnieła rubinowa krew ziemi.

Dionisjos, z którego oblicza śmiała się cała pełnia młodości i rozkoszy życia, napełnił pierwszą amforę i pierwszą zgotował ucztę.

I oto przez gaje i lasy, przez łąki i kwietne równiny pociągnął orszak bożka, hałaśliwy, rozpasany, lecz brzęniący weselem i jakąś słoneczną radością.

Szedł tedy Dionisjos-Bacchos strojny w girlandy gron winnych, które mu się paliły rubinami i ametystami u gładkiego ciała. Pan dał w swój syrinks trzeinowy, lysz Sylen tulił miłośnie amforę do piersi, smakując lubieżnie ustami, które mu jeszcze ociekały sokiem winnym, a dalej ciągnął cały sznur pijanych Faunów z kózłemi nogami i roześmianych Bachantek z tyrsami w dłoni i przewieszonymi przez ramię skórami lamparciami, na które słońce siało jaskrawe, lśniące krążki złote.

Gaj szmaragdowy i przepojony żarem, roz-

brzmiewał tupotem nóg bosych i, zdało się, sam śpiewał hymn bachiczny:

— Evoe, Bacche!

W orszaku bożka szedł pierwszy śmiertelnik, który zakosztował z amfory Dionisjosy. Był to młody Kallistenes, idący teraz krokiem niepewnym i wykrzykujący głosem chrapliwym wtór pieśni. Włos pod wieńcem z bluszczu i róż jeżył mu się dziko, oczy miał błędne i poruszał rękoma, niby szalenie.

Nagle na zakręcie gaju wśród mchów i paproci wykwitnął orszak inny.

Szła oto cudna Kyprida, złotawa sama w słońcu i złotowłosa, a przed nią biegł różowy Eros z kołczanem. a za nią nimfy i pacholęta. W powietrzu chwiały się i trzepotały motyle, a kwiaty z pod stóp złotowłosej zdawały się śpiewać wraz z gajem:

— Ewoe, Kypris!

W orszaku bogini kroczył także jeden śmiertelny, którego dosięgły strzały Erosa. Był to Chrynsander, wzdychający do słodkiej Melitty. Włos miał dziko zwichrzony, oczy błędne, szedł chwiejnie i machał ramionami, szeptał słowa bez związku.

Orszaki zatrzymały się, a pierwszy odezwał się Bacchos:

— Witaj Bogini! Oto święcimy dzień, w którym utoczyłem do amfory część twoich czarów i upojeni.

Uśmiechnęła się Kypris.

— Bądź pozdrowion Bacche, ale nie sądzę, by ci się to udało. A jako zwiesz swoje czary i upojenia?

— Wino!

— Wino?... Nie znam jego władzy, ale nie przypuszczam, by wyrównał upojeniu miłości. Ta bowiem ma i słodycz miódów Hymetu i gorycz jadów Lokusty, ma ona światłość Olimpu i ciemności Hadesu, a kogo dosięgną strzały Erosa, ten w bólu nawet doznaje rozkoszy i jest jakoby objęty szalem, co go od ziemi odrywa. Spójrz oto na Chrysandra. Ten ci poznał rozkosz miłości, a teraz błądzi ciałem, jak szalenie, podczas gdy jego Psyche trzepoce w słońcu tęczowemi skrzydłami. Zali umiesz śmiertelnym doprowadzać do takiego stanu?

Bacchos zmrużył oczy, przyjrzał się Chrynsandrowi i rzucił wesoło:

— Rzekłbyś pijany!..

Kyprida uśmiechnęła się tryumfująco:

— Zgadłeś. Upojony miłością!..

Ale oto na czoło orszaku bacchicznego wysunął się Kallistenes z potarganą girlandą róż i błędnymi oczyma. Wzdychał on ciężko i wykrzykiwał bez związku, a ramionami pracował, jakoby goniąc jakieś mary nieuchwytnie.

Kypris cofnęła się zdumiona i zawołała:

— Co czyni ten młodzieniec w twoim orszaku?... Zali nie widzisz, że i jego dosięgły strzały Erosa?

Ale Bacchos już się zanosił od wesołego śmiechu, i wołał tak gromko, że aż Sylen omal nie upuścił amfory:

— Zwyciężonaś, bogini! Otoś sama nie rozrezała rodzaju upojenia... To moje dzieło i tej amfory!.. Ten szlachetny młodzieniec, ten Kallistenes w potarganej girlandzie — to szalenie z mojego orszaku... On jest pijany! pijany—winem!..

I gaj rozebrzmiał szalonym, wesołym śmiechem, a kiście drzew migwały jak tyrsy, płosząc motyle i nimfy złotowłose. Zieleń szumiała, jak musujący sok winnej jagody, a echa wtórzyły wokóło:

— Ewoe, Bacche!..

Niz.

## Książę Reichstadtzki.

Aureola chwały, która otaczała głowę Napoleona, sprawiła, że około jego postaci utworzyły się setki legend, osnuły się nici tysiąca wspomnień i anegdot. Część tego zainteresowania ogółu przeszła i na osobę zgasłego przedwcześnie syna wielkiego cesarza. Romantyczna ta postać nęciła zarówno historyków, jak romansopisarzy. I nie dziw. Był to syn orła i gęsi, oderwany od swego naturalnego gruntu i otoczenia. Orzeł, przykuty do skały, tęsknił o setki mil od ukochanego syna. Matka w płótych rozrywkach, w tuzinkowych romansach i intrzykach szukała zapełnienia długich i banalnych dni niegdys pani świata, do której to roli zresztą nigdy nie miała ochoty ani powołania. Sam „Franz“, jak go przechrzczone z imienia, którego dźwięk ruszał w posadach państwa i wywoływał dreszcze trwoży lub nadziei, sam książę nieznanego państwa służył za igraszkę dyplomatyczną w ręku wszechpotężnego Metternicha. Była to rola nikła i aktor w porę zeszedł ze sceny, na której miały się rozegrać wydarzenia o wiele przekraczające miarę jego umyślnie skarlowanej osoby. Imię jego służyło za hasło i sztandar, pod którym skupiali się spiskowcy; za to hasło ludzie szli z podniesionymi głowami na szafot i na galery, a on zdala od pola ich staran nie znał nawet nazwisk i dażeń tych, którzy przez niego chcieli wskrzesić

tradycje wielkiego cesarstwa. W tym szczupłym blondynku trudno było dopatrzyć się potomka śmiałego korsykanina; mała cząstka jego krwi pochłonięta została przez starą, ale zużytą krew Habsburgów; w tej młodej gałęzi genealogicznego drzewa płynęły te same soki, które krążyły w żyłach Filipów hiszpańskich, Joanny szalonej i tylu ciemnych postaci domu austriackiego. Legenda, jeżeli nie prawda chce, że zginął on od przedwczesnego erotyzmu, cechy starych i zwyrodniałych rodów, umiejętnie podsycanego przez tych, którym zależeć mogło na usunięciu niepokojącego potomka i zlikwidowaniu raz na zawsze wielkiego spadku. Spiski i miłość w życiu księcia Reichstadtu dostarczyły tematu wielu romansopisarzom i poetom: ostatnie dzieło w tym kierunku *Orlątko Rostanda* żywo stoi jeszcze w pamięci ogółu, który zawsze żywo interesuje się dziejami wieżaia z Schönbrunnu. Ze względu na to zainteresowanie chcemy przedstawić dzieje i postać jego, obrazy otoczenia itd. według najnowszego dzieła historyka niemieckiego Wertheimera p. t. *Książę Reichstadtzki*.

Autor jest Niemcem i ztąd już płynie pewna nieufność co do bezstronności jego dzieła. Ale zaraz po tem jedynem zastrzeżeniu stwierdzić trzeba, że zużytkował on sumieanie wiele niezużytkowanych dotąd źródeł rękopiśmiennych z tajnych archiwów domu Habsburgów. Szczegóły nowe ugrupowane są starannie: oświetlenie możliwie bezstronne, skutkiem czego książka zawiera wiele ciekawych rzeczy.

Ciekawe jest stanowisko co do Metternicha. Książka Wertheimera nie miażdży go—zapewne, ale w każdym razie nie zostawia mu miejsca w galerii sławy. O jego największem dziele politycznym, z którego był tak dumny, o zgnieceniu Napoleona i Napoleonidów mówi autor bez cienia uznania i podziwu; owszem zadaje sobie pytanie, które wielu ludzi zadawało sobie dotychczas, mianowicie, czy nie byłoby korzystniejszem dla Austrii obwołanie Maryi Ludwiki regentką, o czem marzyła armia i dla czego zjednać można było całą Francję. Zamiast tego naj-mądrzejszy rzekomo mąż stanu pozwolił sobie zawrócić głowę starymi historiami legitymistów, zasada prawnego następstwa tronu, stokrotnie fałszowaną i gwałconą, tą samą zasadą, w imię której może się kiedyś stać cud, że syn nauczyciela języka francuskiego Girona zasiądzie na tronie saskim! Do bieżącej polityki używano jednak strasznego imienia księcia. Kiedy Ludwik Filip, który dzień i noc drżał przed bonapartystami, próbował pokrzyżować politykę austriacką we Włoszech, Metternich zagroził, że puści wolno niebezpieczeństwo, które, przykute na złotym łańcuchu, trzymał w Wiedniu. Imię syna cesarskiego było w ręku jego tępą bronią, którą jednak każdej chwili można było naostrzyć. Zdaniem autora, Austria nie miała żadnego interesu w śmierci księcia, jak tego chcą legendy historyczne. Przeciwnie—życie jego było dla niej bardzo drogocenne, bardzo pożyteczne i czuła się niewątpliwie dyplomatycznie osłabiona, kiedy biedny książę wyzionął ducha. „Nigdy nie będziemy już mieli w rękach takiej przeciwwagi dla uroszczeń zagranicy“ — pisał jeden z nauczycieli księcia, pułkownik Foresti do hr. Dietrichsteina. Słowa te dostatecznie malują zmianę stanu rzeczy. Czy jednak korsyści te były należycie oceniane we właściwym miejscu, pozostaje zawsze kwestyą otwartą. Metternich podobał sobie w pozie atlety, który zabił lwa i pragnął za to od Wiednia obywatelstwa honorowego. Była to drobnostkowa próżność, choroba i słabość wielu dyplomatów. Wyobrażał sobie, że w swym gabinecie przed lustrem robił historię świata.

Wertheimer obchodzi się bardzo ostro z Maryą Ludwiką, jeszcze ostrzej chyba, niż ostatni autor francuzki, który pisał o tych czasach, Fryderyk Masson. Nie może jej darować, że ta, która stała przy Napoleonie, stała na szczycie ziemskiej potęgi, odpoczęła po tych trudach w objęciach hr. Neipperga. Zamilcza zupełnie o jej trzecim mężu, hr. Bombelles, późniejszy starszym mistrzu ceremonii przy cesarzu Ferdynandzie. Do książki dołączona jest rycina, przedstawiająca ekscesarzową, ale nie taką, jaką przywykliśmy widzieć na portretach: okrągłą, apatyczną blondynę, kochającą i pozwalającą się ubóstwiać. Z portretu, z oczu mówi namietność; poznaje się wnetzkę sycylijskiej Maryi Karoliny, córy o gorącej krwi Maryi Teresy. Usta jej—to cały romans; zdaje się sam bóg miłości musiał ubrać jej głowę w strusie pióro, jako w znak zwycięstwa. Obraz ten ma w sobie odcień bohaterstwa i jest wymownym dowodem przeciwności, jakie często zachodzi między twarzą a charakterem. Bo Marya Ludwika nie miała w sobie nic bohaterskiego: jako małżonka i matka była raczej pełnem przeciwieństwem bohaterki. I miłość wyrastała u niej z przyzwyczajenia, jak ozdoby kwiat wyrasta z doniczki przy przyjaznej temperaturze pokojowej. Takim sposobem przyzwyczaiła i nauczyła się kochać cesarza Napoleona, którego z początku bała się okropnie. Nie światowa kreolka, ale dziecię królów z Hofburgu obudziło w

sercu kierownika bitew przywiązanie do ogniska domowego. Polityka w tym razie niewątpliwie stworzyła szczęście, ciche, rodzinne, szczęście w zakątku pałacu, ale to co polityka stworzyła—ona rozerwała również. Napoleon zgrzeszył przy swoim pierwszym małżeństwie; jakby w odwet za to mocarze Europy zgrzeszyli przy drugim. Ci, którzy nawet swoje przymierze świętem nazywali, bardzo lekko igrali z świętością tego związku. Zapieczętowało go pań-

falne powitanie. Była długo zdala od Wiednia, zrobiła dłuższą podróż zagranicę, ale teraz znowu powracała do domu i powinna była zastać wszystko bez zmiany. Gronostaje cesarskie, które przywoziła w pakunkach, musiały jej oddać w drodze wielkie usługi, jako ciepłe futro. Prócz tego przywoziła ze sobą dziecko, jasnowłosego chłopczyka, który nosił szumny tytuł króla rzymskiego. „On należy też do nas!” wołali wiedeńczycy i rozstrzygali w ten poufaly spo-

żądał tego obrazu, a jej pozostawiono tylko kopię bez płaszcza koronacyjnego. Przez czas jakiś bronila francuzkiego obyczaju na swoim dworze, przez co straciła łaski wiedeńczyków, którzy ogłosili ją za próżną, dumną, zupełnie zfrancuziałą. Mogła zresztą czasami zadzierać nosa do góry, kiedy porównywała skromny dwór ojca z dworem tuileryjskim, imponującym wspaniałością i blaskiem, który jej poprzedniczka Józefina zrobiła środowiskiem czarownem



Grupa pań w kostymach z balu artystycznego „Na starem zamczysku”.

stwo, pobłogosławił kościół, a jednak zaledwie moczarny upadł, pieczęć obsunęła się jakoś sama przez się i błogosławieństwo straciło prawie wszelką siłę. Dla panujących było jasnym, że po upadku Napoleona, małżeństwo jego z córką cesarską nie mogło posiadać zupełnej wagi. Po abdykacji w Fontainebleau pisał Stadion do Metternicha w imieniu cesarza Franciszka: „Pani arcyksiężna należy tylko do swego

sób najbardziej drażliwą kwestyę danej chwili. Dziecko miało włoski blond, niebieskie oczki — nie było wątpliwości—było to księżatko austriackie. Nie nazywał się też już królem rzymskim, ale księciem parmeńskim; wszak tem małym włoskiem księstwem odszkodowano jego mamę. Tytuł jej cesarskiej mości pozostawiono wprawdzie Maryi Ludwice nie bez oporu Metternicha, który niechętnie zapatrywał się

wszelkiej elegancji i zbytku, jaki tylko sobie wyobrazić można.

Jednakże pozwoliła stać się temu, czemu zapobiedz nie mogła, a wkrótce nie chciała. Dla Neipperga nadszedł moment psychologiczny. Mała dodatkowa legenda, która utworzyła się około tego imienia została już dawno obalona; obala ją jeszcze raz Wertheimer. Legenda mówi, że generał Neipperg



Grupa panów w kostymach z balu artystycznego „Na starem zamczysku”.

ojca i tylko on jeden może rozciągnąć nad nią opiekę”. Pani arcyksiężna! Cesarzowa francuzka stała się zaraz w oczach książąt znowu księżniczką austriacką i pomimo przepisu o podążaniu wszędzie za mężem powracała znowu pod opiekę rodzicielską, wbrew prawom ludzkim i boskim.

Nie inaczej myśleli i wiedeńczycy. Tłumnie podążyli do Schönbrunnu 14 maja 1814 roku i zgottwali powracającej Maryi Ludwice radosne i tryum-

na „tułacze wysokości bez tronów” wedle jego wyrażenia, wyrażającego mało szacunku. Szumny ten tytuł było to wszystko, co pozostało bylej cesarzowej z jej dawnej wspaniałości. Pozatem, znając dokładnie jej brak zdolności do oporu, odzwyczajano ją metodycznie od wspomnień Odebrano jej usługę francuzką, francuzkie otoczenie dworskie. Posiadała słynny obręcz Gérarda, na którym była przedstawiona w purpurze cesarskiej. Cesarz Franciszek za-

otrzymał od Metternicha kategoryczne polecenie zdobycia serca Maryi Ludwicy. Atoli wieść ta nie da się dziś utrzymać. Romans nie rozwijał się z takim śpieszkiem. Marya Ludwika widziała z początku w generale niepożądanego doradcę, szpiega nawet, a z drugiej strony gen Neipperg miał jedno oko, a więc był mało zdolny do miłosnych podbojów. W każdym razie musiał mieć przyjemny sposób obejścia i przytem był bardzo muzykalny. Pierwszą swoją żonę

wykradł; była to romantyczna historia, która robiła go bardzo interesującym dla kobiet. Marya Ludwika coraz łatwiej znosiła towarzystwo tego trubadura w mundurze i tym razem także powoli wyrastała gorąca miłość z doniczki przyzwyczajenia. Kiedy Napoleon nagle powrócił z Elby, stosunek prawdopodobnie był już bardzo poufaly, bo cesarzowa była przerażona straszną wieścią. Przekształcenie udało się; z duszy cesarzowej wypłeniono wszystko, co było francuzkiem.

Podobne przekształcenie musiało być dokonane i na dziecku. Przedewszystkiem trzeba mu było znaleźć nazwisko. Nie mógł nosić tytułu księcia Parmy, bo następstwo tronu w tym kraiku, które z początku zostało mu przyznane, zostało znowu potem odebrane. Więc jakże miał się nazywać dzieciak, bo przecież musiał mieć jakieś nazwisko. „Książę Müdlingu?” proponowano, ale Metternich kiwał głową przecząco. Chciano nawet z synka korsykanina zrobić „księcia Bubenburgu”, ale Metternich kiwał jeszcze bardziej głową. Wtedy jeden z augurów miał pomysł nazwania chłopca „księciem Busziehradu”. Ale tu najbardziej stanowczo zaprotestowała Marya Ludwika przeciwko ośmieszeniu syna. Po raz pierwszy w życiu miała odwagę postawić się ostro i pokazać pięść grożącym losom. Za żadną cenę nie chciała słyszeć o nazwisku, którego żaden człowiek wymówić nie jest w stanie, poza granicami Czech. Ponieważ odmawiano jej ładnie brzmiących, przytoczonych powyżej tytułów, a codzienna nazwa „księcia Franciszka Karola” brzmiała w jej uszach zbyt pospolicie, więc zgodziła się na to, aby nazwisko wzięte zostało z dóbr czeskich, ale miało to być przynajmniej nazwisko niemieckie. Takim sposobem w r. 1818 z siedmioletniego syna francuzkiego cesarza zrobiono czesko-niemieckiego „księcia Reichstadtu”. Tytułu „cesarskiej wysokości” nie przyznano mu jednak. Mieszkał w Burgu, jadał przy stole swego dziadka, był — wedle trafnego wyrażenia bar Obenaus — honorowym, ale nie rzeczywistym członkiem rodziny cesarskiej. Miał być pierwszym po arcyksiężętach, zatem pierwszym poddanym. I w tych drobiazgach los obzedł się gorzej z synem Maryi Luewiki, niż z synem Józefiny, gorzej z rodzonym synem, niż z pasierbem Napoleona Eugenisz Beauharnais, wówczas książę Leuchtenburgu, siedział w Monachium jako zięć królewski i nosił tytuł „królewskiej wysokości”, gdy książę Reichstadcki musiał się zadawać zwykłym tytułem „jaśnie oświeconego”.

Wychowanie młodego księcia było największą trudnością. Autor traktuje je według zupełnie niezwykłych źródeł, przyczem znowu padają w grzyby niektóre legendy. Zdaniem jego — nikt nie miał zamiaru tać przed dzieckiem istnienia jego ojca, jak to przedstawia Rostand w tragicomicznej scenie nauki. Czytelnicy pamiętają zapewne, jak zjawia się wspomniany wyżej Obenaus i mówi swemu uczniowi o niejakiem Bonapartem, który był naczelnym wodzem wojsk królewskich i w imieniu Ludwika XVIII odnosił świetne zwycięstwa. Znowu według autora książki — nauczyciele młodego księcia, ani na chwilę nie myśleli o takim szaleństwie. Byli to poważni i sumienni ludzie, jakich nie wielu znalazłoby się pomiędzy społecznymi nauczycielami książąt. Jeżeli w duszy mieli jakie wątpliwości, to tylko co do chwili, w której ma być chłopcu prawda odkryta. Przedewszystkiem jednak chodziło o wychowanie księcia austriackiego. Usunięto i jego otoczenie francuzkie, pochowano książki z cesarskimi orłami, uczono go tak gorliwie niemieckiego, że sam zapomniał o francuzkim. Musiano go później osobno uczyć ojczystego języka, ale nigdy już nie mógł się odzwyczaić od używania licznych germanizmów. Nie był zgoła wzorowym uczniem — przeciwnie: niespokojny, skłonny do oporu popisywał się często umyślnie zupełną nieświadomością.



W „Miłostkach” Schnitzlera.



W „O chlebie i wodzie”.



W „Dworze we Władkowicach” Przybylskiego.

Wychowanie jego było szkołą cierpienia dla nauczycieli.

Więc dziecko, któremu z trudnością znaleziono nazwisko, szukało swego ojca. Kim był? Czy rzeczywiście przestępca, jak podsłuchał kiedyś w rozmowie szepczących lokaj? Gdzie był? „W Anglii”, jak podsłuchał kiedyś dwie damy, czy „w nędzy”, jak mówili inni. Biedny chłopiec nie mógł odgadnąć, a wielki człowiek wiódł już wówczas beznadziejny żywot na samotnej wyspie.

Przyszła jednak chwila, kiedy chłopak musiał poznać część prawdy. Nie można było zataić przed nim śmierci jego ojca. Kiedy nadeszła wiadomość, włożono mu ubranie żałobne. Marya Ludwika, panująca w Parmie dowiedziała się o niej z gazet. Zerwała już bezpowrotnie z przeszłością i znajdowała się wówczas w niezmiernie interesujących okolicznościach, ale nie zaniedbała nakazać trzecziesięcznej



W „Szkołe kobiet” Molière'a.



W komedii „Jacus” Lubowskiego.



W „Dyanie” Kozłowskiego.

żałoby dworskiej po „jaśnie oświeconym małżonku”. Napisała też list pocieszający do syna, który coraz więcej dowiadywał się o swoim niepospolitym ojcu. Świetna epopeja rozwinęła się przed jego oczami w całym swoim blasku i podnieciła jego ambicję. I on chciał być czemś wielkiem. Mianowano go feldfeblem, z czego radował się głośno, sądząc, że i on, jak ojciec, zasłuży na tytuł „le petit caporal”. Z latami następowały wyższe stopnie, a wypadki polityczne w Europie otwierały mu słoneczne perspektywy. To miał być królem polskim, to greckim, to znowu belgijskim. Jego życzenia osobiste szły w bezmiar, daleko poza granice korony cesarskiej.

Ale losy okrutne spieszyły z nożycami, które podcięły skrzydła młodemu orłowi. Zmarł w wieku lat 21 (1832). Już leżał chory śmiertelnie w Schönbrunnie, a Marya Ludwika, która była właśnie w Tryeście, ociągała się z przybyciem. Nareszcie zjawiała się, ale nie poruszyła nawet palcem do pielęgnowania chorego, odwiedzała go tylko kilkakrotnie w ciągu dnia. Przed ostatnią walką śmiertelną wołał on matki. O tym okrzyku mówi autor: „To wołanie matki rozdziera uszy. To krzyk, który nigdy nie ustanie. To ostrzeżenie pełne wyrzutu, to ostra, gorzka skarga. Około jego kołtasy stał niegdyś cały świat — łożo śmierci było opuszczone nawet przez rodzoną matkę. W najbiedniejszej chacie nie można prawie bardziej samotnie schodzić z tego świata!” Jako książę cesarski został pochowany w krypcie Kapucynów i tu odzyskał nareszcie to, czego odmawiano mu w ciągu całego życia, pełne i prawdziwe nazwisko. Dotychczas nazywano go w dokumentach i patentach tylko synem arcyksiężnej Maryi Ludwiki; napis na sarkofagu, wymienia także nazwisko jego ojca. Śmierć rehabilitowała go jako syna Napoleona Wielkiego, ale uniemożliwiła zarazem odpowiedź na pytanie, czy syn osiągnąłby stopnia przewagi duchowej ojca.

Niewątpliwie nie brak mu było wielkich zdolności. W Austrii pokładano nadzieje w jego talentach wojskowych, które zamierzano później wyzyskać na rzecz państwa; miał być z niego drugi książę Eugenisz. Ale nie danem mu było spełnić tych nadziei i kto wie, czy w chwili stanowczej nie oddziaływałyby krew Maryi Ludwiki, a ta nie była zdolna do silnego działania. Gdyby w r. 1814 matka z synem na rękę powstała w celu obrony tronu, cała Europa skłoniłaby się przed tą Madonną. Ale los włożył na jej barki zbyt ciężkie brzemie.

Los nie oszczędził synowi Napoleona niedoli fizycznych, ani moralnych. Był on dla Europy stałym kłopotem. Cała Europa drżała przed jego imieniem, nie wiedząc, że lęka się cienia. Nie Metternich, ale los okrutny rozwiązał zagadkę, złączoną z jego imieniem. Czy gdyby żył, zdobyłby cel swoich życzeń, purpurę cesarską ojca? Niepodobna na to odpowiedzieć. Ale Napoleon II byłby zagroził drogę trzeciemu, bo syn Hortensyi nie mógłby pretendować do tronu, póki byłby żywy syn wielkiego Napoleona. Tak więc można śmiało powiedzieć: że gdyby to biedne dziecko pożyło dłużej, historia świata poszłaby innymi torami, bez względu na to, czy byłby cesarzem czy też żebrakiem.

## Jadwiga Czaki.

Ustępuje z teatru artystka, która przez długi szereg lat zajmowała w nim poważne stanowisko, ze względu równie na jakość jak i na ilość ról przez nią grywanych.

Panna Jadwiga Czaki, dziś pani Mirecka, z urodzenia warszawianka, pierwsze kroki na scenie stawiała w Krakowie pod specjalną opieką Władysława Anczyca, którego szczególnie zajął młodociany jej

talent. Debiutowała więc p. Czaki w Krakowie za dyrekcji Koźmiana w dramacie p. t. „Obrona Częstochowy“, a w niedługi czas potem w Warszawie w „Zbudziło się w niej serce“.

W Krakowie w krótkim czasie zdobyła rutynę, a równie szybko w Warszawie stanowisko, o które w owej najświetniejszej epoce naszej sceny dramatycznej, wcale łatwo nie było. Ale Romana Popiel już wkrótce opuściła teatr, Wisnowska jeszcze we Lwowie nie otrząsnęła się z powijaków szablonu naiwnej, więc młoda artystka miała przed sobą wolne pole do wyrabiania się w tak popularnym i sympatycznym dla tłumów rodzaju ról: niewiątek, gasek, wesołych trzpiotek i dziewcząt-kozaków, bez których żadna ówczesna komedia obejść się nie mogła.

Objęła tedy Jadwiga Czaki berło naiwnych po wyjściu Romany Popielówny z teatru, a jakkolwiek dzieliła je później z Wisnowską, to jednak gdy ta ostatnia przerzuciła się do ról lirycznych, dramatycznych, a nawet ekscentrycznych, w miarę przerażania się repertuaru wesołe i naiwne dziewczątka znowu niepodzielną własnością Czakówny pozostały.

Największy chwalca i stronnik artystki nie mógłby twierdzić, że tworzyła wtedy wybitne kreacje, że jej Helenki, Wandzie i Jadwisie różniły się między sobą jakimś znamionem rysami, ale miała Czakówna młodość, urodę, pewność siebie, swobodę ruchów i humor na scenie, a to zastępowało jakąś głębszą charakterystykę i psychologię postaci, o których zresztą przy rolach naiwnych dawniejszego pokroju mówić trudno. Wzięła je zresztą Czakówna już gotowe w spadku po Bakalowiczowej, Urbanowiczównie i schodzącej ze sceny Popielce, a nie robiła z nich nic mniej ani więcej, jak jej współzawodniczka Wisnowska.

Powoli jednak tak się ułożyły stosunki między dwiema artystkami, że gdy Wisnowska grywała burzliwe, temperamentowe role młodych panien z cudzoziemskiego repertuaru, Czakówna wzięła w monopol swojskie dziewczęta z pod strzechy i dworów wiejskich naszych oryginalnych komedii.

Współzawodnictwo z Wisnowską, której wielki i bardzo indywidualny talent dopiero przy „Lenie“ Jasińczyka rozwinął skrzydła do lotu, nie pozostało i dla Czakówny bez dodatniego wpływu.

Krótką sukienką, wesołe uśmiechy, zabawne i żalosne minki w miarę wesołej lub smutnej sytuacji na scenie przestały artystce wystarczać, zaczęła bardziej zastanawiać się nad charakterem postaci, zastępując szablon nieraz szczęśliwymi aktorskimi pomysłami. Grywa też artystka odtąd nie same naiwne; wchodzi do jej zakresu i młode mężatki o bardziej skomplikowanej psychologii, a wreszcie i w lirycznych jej postaciach nuta szczerzego uczucia tętni. Z tych ostatnich mógłbym wskazać rolę Salusi w „Hardych duszach“ Orzeszkowej i Sarneckiego, która się szczególnie artystce udała, a grała ją naszenie warszawskiej pierwsza, na parę lat przed p. Siemaszkową.

Trzysta ról przeszło wykonała Jadwiga Czaki na warszawskiej scenie, a były całe lata, w których codziennie jej nazwisko figurowało na afiszu.

W tyłu widowiskach, w tak olbrzymiej ilości ról, trudno się nawet połapać i ogarnąć pamięcią najwybitniejsze kreacje. Przypomnieć można jednak i bardzo ładną Anielkę w „Ślubach panienskich“, którą Czakówna wystudowała *con amore* według tradycji pozostawionych przez Modrzejewską i milutką mężateczkę w „Szczęściu małżeńskim“ Vallebrege'a i Genowefę w „Pocziwych wieśniakach“ Sardou'a i wreszcie cały szereg ról w komediach oryginalnych, takich jak „Dziewczę z chaty za wsią“ (tytułowa bohaterka), w Lubowskiego „Jacusiu“ i „Przyjaciółce żon“ (Wanda i Rabsztyńska) w „Prelegencie“ Kościelskiego (Andzia), w „Żabusiu“ Zapolskiej (rola tytułowa) i наконец wszystkie naiwne i bohaterki komedii Zygmunta Przybylskiego. Godzi się też wspomnieć jeszcze i o bardzo poprawnej Alinie z fragmentów z Balladyny, przedstawianych na naszej scenie, o Agnieszce ze „Szkoły kobiet“ Moliere, o Kamilli z „Domu otwartego“ Bałuckiego i kilku innych sztukach tegoż autora, o „Odstępce“ Graybnera, Jadzi w „Naszyc aniołach“ Wolowskiego, w których to wszystkich rolach artystka zdobyła sobie powodzenie.

Dziś pani Czaki Mirecka ustępuje ze sceny, zegnając się z publicznością na benefisowem przedstawieniu. Jeżeli istotnie ustępuje, zostawi po sobie wspomnienie użytecznej, pracowitej i sympatycznej artystki, której nazwisko złączyło się nierozdzielnie z najświetniejszą epoką naszej sceny dramatycznej. Co prawda era ta już się kończyła kiedy Czakówna do warszawskiego teatru weszła, ale jednak było jej dane grywać jeszcze z Żółkowskim i Królikowskim, z Modrzejewską i Popielką, współzawodniczyć z Wisnowską i po kilkadziesiąt razy na rok kochać się i wychodzić za mąż za Tatarkiewiczą.

Jeśli jednak postanowienie artystki nie jest niewzruszone a o to, przyznaję się otwarcie, każda

artystkę dramatyczną podejrzewam, to pani Czaki-Mirecka przy zdobytej rutynie i zasobie humoru, który zawsze posiada, a jeszcze szerokie pole do ról charakterystyczno-komicznych, byleby szczerze i z przekonania uprawiać je chciała, przyjmując je nie jako narzucone zadanie ale jako właściwy dział, w którym jej talent i doświadczenie sceniczne istotnie pożytek sztuce przynieść mogą.

Piękne wspomnienia przeszłości jedynie, albo dołączona doń na przyszłość praca w nowym zakresie, spełniana równie gorliwie i z równym przekonaniem—oto słowa życziwej rady rzucone artystce w dzień jej benefisu na rozstanie z publicznością lub chwilowe tylko ze sceną rozłączenie.

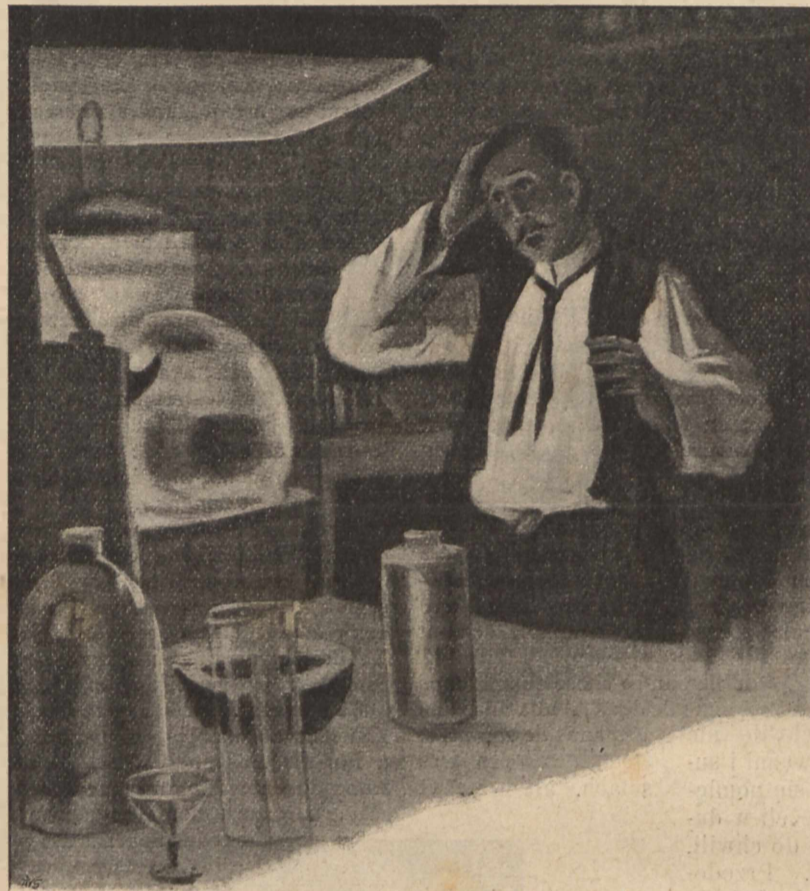
K. Z.

Jan de Puybel.

## BAJKA KARNAWAŁOWA.

Przekład z francuzkiego.

Paweł Hermas miał dwadzieścia trzy lata i właśnie kończył medycynę, kiedy ojciec jego skończył samobójstwem. Bankier Hermas, uważany za bardzo bogatego z powodu wspaniałego pałacu, w którym mieszkał, pary koni do wyjazdu za dwadzieścia tysięcy franków, automobilów najnowszej systemu, przejechał na giełdzie dwanaście milionów w ciągu jednego kwartału. Nie mając nadziei kiedykolwiek powetować te straty, wołał umrzeć, aniżeli walczyć jeszcze, przeciwdziałać nieszczęściu w grze.



Z dnia na dzień Paweł Hermas, wychowywany i kształcony jak syn królewski, obudził się w ruinie. Przyszłość jego była zburzona, zdaje się na zawsze. Po śmierci ojca pozostawał sam na świecie, bo matka jego zmarła przed dziesięciu laty. Ale czuł, że posiada dosyć energii aby próbować walczyć ze złym losem. Wbrew przyzwyczajeniom synów ludzi bogatych, dla których praca, nawet intelektualna, jest rodzajem upadku, Paweł miał zawsze zamiłowanie do nauki. Przy pomocy wybitnej inteligencji potrafił zyskać sobie opinię jednego z najlepszych uczniów liceum Ludwika XVI. Pociągali go szczególnie fizyka i nauki przyrodnicze; dlatego chciał zostać lekarzem.

Pozostawały mu już tylko dwa egzamina, kiedy zaszła katastrofa. Ale stracił dużo czasu na uporządkowanie spraw majątkowych, bardzo zawiąklanych. Widok wszystkich przyjaciół, na których zdawało się mógł rachować, usuwających się od niego, wywołał nagły przewrót w jego usposobieniu. Energia, którą się odznaczał, zmieniła się w niedołęztwo, radość życia w rozpacz, czynność w zupełną niezdolność do wysiłku.

Wpłynęła na to i pewna wizyta, oddana jednemu z najlepszych przyjaciół jego ojca, Szymonowi Buffardowi, człowiekowi bardzo bogatemu, żyjącemu z procentów od majątku, zdobytego w przemyśle. Było to publiczną tajemnicą, że panna Genowefa Buffard miała zaślubić Pawła Hermasa zaraz po otrzymaniu przez niego stopnia doktora medycyny.

Kiedy teraz przyszedł, państwo Buffard pod

pierwszym lepszym pretekstem usunęli z pokoju córkę, poczem oświadczyli wyraźnie zrujnowanemu młodzieńcowi, że powinien zaprzestać wizyt, zapomnieć o drodze prowadzącej do ich domu i nie myśleć więcej o Genowefie. Nie taili przed nim, że przeznaczają córkę jakiemuś autentycznemu milionerowi, albo conajmniej zrujnowanemu potomkowi starej magnackiej rodziny.

Rozpacz Pawła nie wyraziła się na zewnątrz dźwięcznymi i pompatycznymi frazesami, żałośliwymi błaganiami i zakłęciami, okrzykami gniewu i wściekłości. Młody człowiek wyszedł z poprawnym ukłonem; ani jedno słowo nie zdradziło, jakie gorzkie myśli i pretensje napelniały jego duszę.

Po raz pierwszy w życiu odczuwał okrutne następstwa wszechpotęgi złota.

Wiedział on dobrze o tem, że od czasu, jak ludzie stworzyli społeczeństwo, metal o złotych blaskach królował zawsze. W najbardziej oddalonej przeszłości stawiano świątynie symbolicznemu cielcowi złotemu. Ale Paweł Hermas spędził całą młodość między bogatymi i nie przypuszczał ani na chwilę do jakiego stopnia nieszczęśliwi życia mogą cierpieć przez ten metal, bardziej nieubłagany, niż spiż armat... I myśl jego puściła się na wędrówkę... Doszedł do tego, że powiedział sobie, iż trzeba, aby on także posiadał złoto, wiele złota, bo nie czuł w sobie rezygnacji, koniecznej dla ubogich. Zznał bogactwa już przedtem. Teraz trzeba było, aby wkrótce stał się bogatym, jak miliarder amerykański.

Po zlikwidowaniu spadku po ojcu, po sprzedaży pałacu i mebli, Paweł Hermas został panem majątku, zapewniającego mu jakieś dziesięć tysięcy franków rocznej renty. Ale wszystko jest względne. Majątek mierzy się upodołaniami i pożądaniami ludzi, więc Paweł Hermas uważał się za bardzo biednego. Wystarczyłoby mu może, gdyby mógł wydawać dziesięć tysięcy franków miesięcznie. Suma ta, jako renta roczna, wydała mu się szczytem nędzy i niedoli.

W celu obmyślenia środków zdobycia takiej ilości złota, która była by dla niego dostateczna, porzucił Paryż i schronił się do zakątka głuchej prowincji, do wioski na brzegach Atlantyku, gdzie na rok wynajął domek. Włocianka z okolicy zajmowała się kuchnią i usługą. Osiedliwszy się na dobre, i znalazłszy się sam ze swymi myślami, zadał sobie pytanie, co może przedsięwziąć, aby stać się na nowo bogatym. Uznał, że nie warto kończyć medycyny i nie przestawał snuć dalej nici swoich marzeń, z okiem, zapatrzonym w niezmierną dal oceanu, to spokojnego, to burzliwego, jak jego dusza.

Marya, jego służąca do wszystkiego, czuła się źle w tym milczącym domu. Paweł nigdy nie mówił do niej ani słowa. Pocziwa kobieta, z natury wielomówna, nie mogła się pogodzić z tem milczeniem, które uważała za ubliżające. Nie, to zupełnie nie było zabawne, przepędzanie całych dni obok tego młodego człowieka, grubiańskiego czy niemego i smutnego, jak drzwi więzienia.

Jakież musiało być jej zdziwienie, kiedy, pewnego dnia ujrzała Pawła Hermasa, wracającego z jednej ze zwykłych niezliczonych przechadzek, odmłodzonego, rozrzużanego, rozrurumienionego jak rajskie jabłko i uśmiechniętego, jak młoda zakochana. Dnia tego był on nawet rozmowny. Zapytał się o cenę masła i kotletów baraniach. Marya była uszczęśliwiona, ale bardziej bystry spostrzegacz poznałby od razu, że pytania te nie miały innego celu, jak tylko zrobienie przyjemności tej, do której były zwrócone.

W pogoni za złotem Paweł Hermas doszedł do tego wniosku, że nie mogąc żyć bez wielkiego bogactwa, zaryzykuje wszystko, postawi na kartę cały majątek, jeżeli będzie potrzebna, ale dojdzie koniecznie do „fabrykowania złota“!

Jego wiadomości z dziedziny chemii były dosyć obszerne. Prócz tego z wielkim zajęciem czytywał zawsze pismo, poświęcone chemii nieurzędowej, tej, z której kpią sobie mędrcy społeczeńsi, p. t. *Rosa Alchemica*... Wiedząc o tem, że Mikołaj Flamel, Jan Dec, Sendivogius, Rajmund Lule i inni dochodzili niegdyś istotnie do przemiany metali, powiedział sobie, że skorzysta z prac poprzedników, że spróbuje zestawić starożytne dane nauki alchemicznej z pracami chemii dwudziestego stulecia.

W zapale neofity był pewny zwycięstwa. Kazał sobie przysłać przedewszystkiem komplet zeszy-

tów pisma *Rosa Alchemica*, poczem zażądał wszystkich tomów innego pisma, bardziej specjalnego, p.t. *Sztuka Spagiryczna*.

Paweł Hermas jednym tchem pożarł wiedzę, zawartą we wszystkich tam zawartych pracach. Dowiedział się z nich, że wytwarzanie złota jest nie tylko możliwe do urzeczywistnienia, ale nawet, że zagadnienie to zostało już rozwiązane. Tiffereau, francuz, opisał w pracy swojej *O przemianach metali* jakim sposobem otrzymał bryły złota, rozpuszczając srebro z miedzią w mieszaninie skoncentrowanych kwasów azotowego i siarczanego, tylko pod działaniem promieni słońca...

Dowiedział się nadto, że znakomity literat szwedzki August Strindberg doszedł do drobnych cząsteczek złota, posiłkując się chlorowodorowym amoniakiem, siarczanem żelaza i chromianem potasu.

Ale zdumienie jego nie miało już granic, kiedy się dowiedział, że nie tylko można wytwarzać złoto w celach nauki, jako rezultat doświadczeń laboratoryjnych, ale że wytwarzają je na wielką skalę — w fabrykach. Doktor amerykański Emmens, który formułę swoją zachowuje w tajemnicy, fabrykuje złoto sposobem potoczny, a kupuje je w sztabach, jako złoto czyste, urząd monetarny w New Yorku. Emmens corocznie powiększa swoją produkcję i rachuje, że dojdzie do 1550 klg. miesięcznie, co da mu dochód czysty 46 milionów rocznie.

Wobec takich cyfr Paweł Hermas pozostawał bez ruchu, jakby zahypnotyzowany. Zadumany rozgorączkowany, nie wychodził wcale ze swego pokoju; służąca Marya musiała go wołać kilkakrotnie w porze obiadowej czy kolacyjnej.

Pewnego dnia Paweł Hermas, bardziej zamysłony niż zwykle, zapakował kuferek i pojechał do Paryża.

— Nie wiem kiedy wrócę — rzekł na odejździe do służącej; — może za tydzień, a może za rok dopiero.

Zaledwie wysiadł na dworcu w Paryżu, zaraz pobiegł do Biblioteki Narodowej. Codziennie od chwili otwarcia jej aż do zamknięcia siedział tam bez przerwy, czytając zawzięcie dzieła alchemików, poczynając od Rogera Bacona i Paracelsusa aż do Sendivogiusa, zawadzając po drodze o Mikołaja Flamela, Van Helmonta, Helweycusza, Jana Dee i Relley'a.

Ta praca czytania i robienia notat, trwała dwa miesiące. Po upływie tego czasu Paweł nabył masę przyrządów fizycznych, retort szklanych, kublów glinianych, substancyj chemicznych i t. d. Potem wrócił do zakutej prowincji, kędy postanowił żyć oczekując majątku lub śmierci.

Założył wielkie laboratorium w stajni i wozowni przy domu. Pochłaniało ono codziennie tonny węgla.

Paweł Hermas był ciągle skłopotany, a podwójna zmarszczka pionowa, która schodziła od góry czoła do początku nosa, z każdym dniem stawała się coraz głębszą... Gdyby to wszystko były tylko głupstwa do tumanienia łatwowiernych... Może Strindbergowie, Emmensi, Flamelowie współczesni są tylko szarlatanami, waryatami, albo naciągaczami?... Ale nie — to niemożliwe. Gdyby nawet współcześni neo-alchemicy nie byli zupełnie przekonani, to niemniej, nie ulegał wątpliwości fakt, że niektórzy alchemicy, niegdyś, zrealizowali wielkie dzieła!

W swej walce z nieznanem Paweł Hermas czuł się codzien bardziej zapalonym, bardziej szczerym, bardziej namiętym: posiadał niezachwianą wiarę. A nie od dziś wiadomo, że wiara połączona z wolą góry przenosi.

A jednak, tygodnie uciekały, miesiące przechodziły i Paweł nie otrzymywał upragnionych rezultatów. Tonny węgla daremnie spalały się w piecach: na dnie retort spoczywał zawsze ten sam proszek bezkolorowy i drobniuteńki, ten sam płyn szary lub jasny, te same śmieszne osady.

Pomimo wszystko Paweł Hermas nie tracił nadziei. Doświadczenia kosztowały go bardzo drogo, przyrządy, których używał, były prosto bez ceny. Na tej drodze każdy dzień zbliżał go do zupełnej ruiny. Malo go to obchodziło. Jeżeli nie spełni się jego dumne marzenie, był zdecydowany popchnąć samobójstwo, tak samo jak ojciec, z chwilą kiedy wyda ostatniego ludwika na kosztowne spławy w celu dojścia do fabrykacji złota.

Próbował różnych sposobów, o których wiedział, że były niegdyś używane. Po kilku doświadczeniach doszedł do pewności, że fabrykacja złota według recept alchemików jest możliwa. On sam otrzymał złoto. Ale były to tylko cząsteczki, których wartość handlowa była niższa, aniżeli cena zużytego węgla i przyrządów.

Pomimo wszystko i więcej niż kiedykolwiek Paweł upierał się przy myśli o wytwarzaniu złota, bez którego nie mógł być szczęśliwy.

Najróżnorodniejsze ciała, najdziwniejsze spławy spoczywały na dnie retort lub w kublach

glinianych, aby podlegać tam najniższym lub najwyższym temperaturom. Paweł Hermas pozwalał sobie zaledwie na kilkogodzinny odpoczynek w nocy. Czasami nawet zrywał się i biegł do laboratorium... Tam — szukał niespokojnie. Ale codziennie, ale zawsze, z retort i kublów wyglądało ku niemu to samo okrutne rozczarowanie.

Pewnego poranku, wchodząc do swego laboratorium, Paweł Hermas wydał okrzyk zdumienia. Nagłym ruchem przetarł sobie oczy.

W wielkiej retorcie, którą przed dwoma dniami napełnił wrzącym, czerwonym płynem, w którym można było rozróżnić cząsteczki miedzi, srebra i rtęci, wszystko było teraz stwardniałe.

Kolor czerwony znikł zupełnie, ustępując miejscu zabarwieniu złotemu, błyszczącemu

Złoto! Więc to było złoto! Umiął wytwarzać złoto!

Paweł Hermas począł gorączkowo przerzucać swoje papiery. Skrupulatnie notował on formuły swoich mieszanin... Znalazł kartkę, na której zanotował ostatnią próbę... Szybkim spojrzeniem objął ją i odczytał...

Jak w napadzie szaleństwa rozpoczął jakiś wściekły taniec naokoło sali, potrząsając kartką.

Nareszcie uspokoił się... Poszedł przyglądać się zblizka swemu złotu, złotu, które sam stworzył. Dotykał go, oddychał jego zapachem, napawając się nim do sytości.

Brutalnym ruchem schwycił młot i jednym uderzeniem rozbił retortę... Wypadła z niej bryła złota, ciężka, spoista i czysta, zabarwiona pięknym złotym kolorem, a tak błyszcząca, że zdawało się, iż wchłonęła w siebie wszystkie promienie słońca.

— Zwyciężyłem! — wykrzyknął Paweł Hermas. — Nie jestem już człowiekiem, jestem bogiem! Robię złoto!.. Mojemi są wszystkie radości życia!..

Wzruszenie, którego doznał, radość, którą uczuł zmusiły go do rzucenia się na krzesło. Przyłożył ręce do skroni, jak gdyby chcąc pomiarkować tętnienie krwi w żyłach. Namyślał się z oczami nieruchomymi, błędnie...

— Tak, — zawołał — zwyciężyłem... Ale to nie ja znalazłem formułę złota, nie ja, chemik społeczny, będący niczym więcej, niż prostym chłopcem laboratoryjnym. To starzy mistrzowie przeszłości, to alchemicy!..

Wziął znowu formułę i odczytał ją znowu uważnie. Po chwili namysłu zdecydował:

— Moja formuła została mi dana przez czterech wielkich mistrzów: przez starego Rogera Bacona, przez Mikołaja Flamelę, przez Helweycusza, przez Van Helmonta... Doszedłem do urzeczywistnienia wielkiego dzieła, biorąc od każdego z nich tę cząstkę prawdy, którą zawiera każda z ich formuł.

Jak zahypnotyzowany masą metalu złotego, którą miał przed oczami, nie mógł odwrócić odeń oczu:

— Teraz, — myślał, — należy przede wszystkim postarać się o zachowanie mojej tajemnicy, mego odkrycia, jakby to była tajemnica stanu... Ale co ja mówię? Lepiej niż tajemnicy stanu. Gdyby ta formuła została rozpowszechniona, byłoby wielkie niebezpieczeństwo, że w świecie wybuchłaby walka ogniem i żelazem... I z mojej pracy zawziętej i z moich wniosków genialnych nie mógłbym wyciągnąć żadnych korzyści... Zachowując ją w tajemnicy, będę w zgodzie z tradycją mistrzów... Bo adepci alchemii byli zawsze posłuszni tym czterem słowom, które były dla nich rozkazami: „Wiedzieć. Chcieć. — Śmieć. — Milczeć“. Wiedziałem — ciągnął dalej ożywiając się, chciałem, śmiałem... Będę mileżał nawet w godzinę śmierci!

Jeszcze raz Paweł Hermas wstał, aby zważyć masę złota, leżącą na stole.

— Jest w tem złota za pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy franków — ocenił powierzchownie. Bagatela! Jest to nędza w porównaniu z milionami, które odtąd będą wychodziły z mego laboratorium!

Przez dwa tygodnie Paweł Hermas był zamknięty w swoim laboratorium, opuszczając je tylko w celach pożywienia. Całe noce spędzał teraz nawet przy swoich rozgrzewanych i ochładzanych retortach. Służąca Marya uważała już teraz swego pana za zupełnego waryata. Ale ponieważ Paweł był hojny, a ona miała znaczne dochody, więc mimo to była zadowolona ze swego losu i uważała się za godną zazdrości.

Pewnego dnia, w porze śniadaniowej, Paweł zadzwonił na Maryę.

— Od dziś, — rzekł do niej sucho, — nie masz już u mnie służby. Odtąd będę mieszkał w Paryżu... Na pamiętkę po mnie, masz tutaj...

Marya otworzyła kopertę, którą jej podał. Było w niej dwadzieścia banknotów po tysiąc franków. Nie wiedziała, jak dziękować.

— Nie potrzeba, — rzekł Paweł Hermas, zostaw mnie w spokoju... Powiedziałem to, co ci miałem do powiedzenia. Teraz dodaję, że wyjeżdżam jutro... Do widzenia!

\*\*

Od pewnego czasu dzienniki mówiły tylko o kosztownych szaleństwach pewnego młodego człowieka, którego gawiedź paryżka nie przestawała podziwiać w rozmaitych modnych miejscach. W ciągu miesiąca wydał on trzydzieści milionów. W danej chwili on miał najkosztowniejsze zaprzęgi w Paryżu i nadawał ton elegantom paryżkim. Kupił on razem z umeblowaniem i urządzeniem wspinały pałac Xaintrailles-Trévis, należący do jednej z najstarszych rodzin arystokracji francuskiej, która zubożała, ponieważ nigdy nie chciała pozwolić swoim członkom na małżeństwa w kołach finansowo-kosmopolitycznych. Nie było dzieł sztuki zbyt kosztownych dla tego młodego nababa. Kupował wszystko, co mu się podobało i zawsze płacił gotówką. Szukał upojenia w najbardziej marnotrawnych orgiach. Już pasorzyci, przewąchawszy zdobycz godną ich apetytów, otaczali go pochlebstwami i tworzyli naokoło niego rodzaj kohorty dworaków i czcieli.

Nazywał się Paweł Hermas. Wiedzano, że był synem bankiera paryżkiego, który zabił się wskutek wielkich strat, poniesionych na giełdzie. Ale to zupełnie nie wyjaśniało, jakim sposobem syn miał tyle pieniędzy do swego rozporządzenia. Gubiono się w przypuszczeniach. Ostatecznie dowiedziano się, że nie posiadał nieruchomości, że miał papierów procentowych tylko za sto tysięcy franków, ale że bankom francuskim i angielskim sprzedął sztab złota za pięćdziesiąt milionów franków.

Przypuszczano, że gdzieś w dalekich, nieznanych krajach odkrył żyły złota tak bogate, że trzeba było tylko się schylić, aby drogocennym proszkiem napelnić niezliczone beczki. Przypuszczenie to nabierało pewnych cech prawdopodobieństwa, reporterowie bowiem dowiedzieli się od dawnych przyjaciół bohatera dnia, że Paweł Hermas opuścił Paryż zaraz po śmierci ojca i powrócił dopiero po dwóch latach. Gdzie je spędził — o tem nikt nie wiedział.

Kilku neo-alchemików wyraziło przypuszczenie, że Hermas sztucznie wytwarza złoto, ale wśmiano ich i zakrzyczano.

Paweł Hermas, lekceważąc wszystko, co mówiono lub drukowano o nim, szedł przez życie z pewnością siebie legendowego Krezusa. Rozrzucił złoto pełnemi rękami, odczuwając prawie boską przyjemność w zaspakajaniu zawistnej chciwości, zgłodniałych pożądań, pragnień bogactwa, które pod postacią mężczyzn czy kobiet, tłoczyły się na jego drodze, wyciągając ręce i wyjąc o pożywienie, jak staja wygłodzonych psów.

Pomimo niewyczerpanych bogactw Pawła, pomimo niezmiernej radości, która zalewała jego serce, inni ludzie żyli własnym życiem, zajmowali się swojemi robotami i koniec końców nie się nie zmieniło w porządku świata... Było tylko na nim więcej o jednego arcybilioniera... A ziemia w dalszym ciągu obracała się naokoło słońca...

Nadszedł tłusty wtorek, poprzedzając o czterdzieści dni święto Wielkiejnocy.

Paweł Hermas myślał tylko o zaspokojeniu swego pragnienia użycia oraz namiętności i odczuwał wielką przyjemność, aby, jako nieznany nikomu, mieszając się z szalonym dnia tego tłumem na bulwarach. Znajdował istotne zadowolenie w tem, że on, najpotężniejszy z potężnych w Paryżu, on, przy którym Rotszyld był tylko nędzarzem, że on znajduje się w tym tłumie, gestykulującym żywo i wesoło, i odbiera rzucane w samą twarz pełne garście confetti.

W gruncie rzeczy Paweł Hermas używał ostatnich chwil kawalerskich czasów. Tak przynajmniej sądził, miał bowiem zamiary... Dowiedział się, że ta, którą pomimo wszystko zawsze kochał, że panna Genowefa Buffard nie wyszła jeszcze za mąż i miał zamiar znowu prosić o jej rękę, aby związać z nią życie. Dowiedział się prócz tego, że rodzice jej wyjechali z nią w podróż do Indji i że nie powrócą aż około Wielkiejnocy. Zaraz po ich przybyciu, Paweł Hermas, niegdyś odrzucony, jako zbyt biedny, zamierzał ukazać się swoim dawnym przyjaciółom w roli triumfatora. Tym razem nie odrzuca już konkurenta, którego jedyną wadą było zbyt wielkie bogactwo... Tego istotnie nikt nigdy jeszcze nie widział!

Tymczasem, trzeba było korzystać z czasu. Paweł Hermas nie zaniechał tego podczas swego tłustego wtorku. Kiedy nadszedł wieczór, po obfitym obiedzie, na który zaprosił kilku pieczeniarzy, postanowił udać się sam na bal maskowy do Opery, w poszukiwaniu nowych przygód. Zmęczony już rodzącą się popularnością, wymknął się zaraz przy deserze, pozostawiając swoich towarzyszy zupełnie oszołomionych. Na balu chciał być zupełnie sam.

Ale dzienniki — nawet najmniej poczytne — niejednokrotnie odtwarzały już jego rysy. Pokazywano go tłumom w całości, od frontu, z boku, z profilu, w trzech czwartych, we wszystkich możliwych pozycjach.

(Dok. nast.).

## KRONIKA MODY.

(L. N.) Jeszcze dni dziesięć, a swawolny robawiony karnawał spocznie na zdobytych laurach i umilknie... do czerwca, by się wtedy odrodzić wśród kwiecia i zieleni i znowu ożywić letnią, wycięgowo-wielnianą Warszawę.

Jest to ostatnia moja karnawałowa z Wami, Szanowne Czytelniczki, gawęda, a choć już czasu niewiele, pozwoliłam sobie przedstawić Wam dzisiaj jeszcze parę przebrań (travestis), bo one istotnie udały się... Paryżowi. Niezmiernie weszło w użycie kostiumowanie tylko głów w najpierwszych salonach paryżkich, londyńskich i wiedeńskich, na każdym nieledwie większym zebraniu spotyka się takie główki śliczne, stylowe, które przy zwykłych balowych tuietach niezmiernie efektownie i oryginalnie wyglądają. Nasza figura I sza a—b przedstawia takie dwie głowy, bardzo wdzięczne i charakterystyczne.



Figura II to niezmiernie elegancki a niezbyt kosztowny kostium *pierrette*, bardzo modny w tym karnawale.

Na tych *travestis* kończę moją kronikarsko-karnawałową kampanię. Bo też gdyby ta kampania dłużej trwać miała, to albo musiano by coś radykalnie nowego wymyśleć lub też wszystkie modne kroniki musiałoby się niemilosiernie powtarzać, a więc znuudzić okropnie.

*Crêpe de Chine. crêpe chiffon*, inkrustacje, *motifs raiuin en relief*, gazy rozszywane wstawkami i znowu *crêpe de chine* i tak na nowo do końca wszystko co się widziało, wszystkie czytane opisy strojów balowych weselnych i t. d., wszystko to zaczyna wreszcie nużyć oko i słuch, a dobrze, że już koniec blizki.

Pierwsze parę tygodni postu to cisza po burzy, to odpoczynek spracowanych rąk, tych szyjących, i nóg, tych tańczących, zbieramy się tylko w małych kółkach, na poufne gawędy, a przedmiotu nie brak, wszystkie wrażenia, wszystkie uwagi, żale i smutki, nadzieje i radości, nad którymi nie ma czasu obecnie myśleć i zastanawiać się głębiej, przybierają wyraźniejsze kształty, podpadają pod sąd bądź to krytyczny, bądź uczuciowy i stają się niewyczerpanym źródłem rozmów i zwierzeń.

Po tych chwilowych rekolekcyach zacznie się sezon koncertowo-rautowy, który przewidując, podaję dziś już (figury III V) modele dwóch sukien, jednej strojnej koncertowej, drugiej wspaniałej rautowej.



Fig. II.

Te suknie, tworzące *manteau de cour* na jasnych przodach, będą niezmiernie modne w tym poście. Jest to moda o tyle praktyczna, że z dwóch trochę podniszczonych sukien strojnych można łatwo, z trochę pomyślności i zręczności, zrobić jedną ładną i świeżą tuietę. Zwracam uwagę, że przy wycięciu stanika trzeba koniecznie umieścić taki wielki kołnierz koronkowy *point d'Angleterre* lub inny, ale zawsze w deseń *en relief*, inaczej cała tuieta straci *cachet* i wyjdzie zupełnie blade.

Jeden nowy szczegół. Bardzo noszą i nosić będą niezmiernie długie sznury złote (lub imitowane) gładkie albo nabijane kolorowymi kamieniami (także imitacja). Im taki sznur jest dłuższy, tem ma być piękniej. Owija go się kilka razy przy samej szyi, tak, by tworzył *collier chien*, potem rzędy idą coraz rzadziej, tak, by zakrywały cały dekoltaż, a reszta ma spadać niżej talii i być zakończoną jakimś fantazyjnym klejnotem, np. małym, złotym, jajkiem, nabijanym kamieniami, zegareczkiem, skutym

sporem ogniem i t. p. *C'est le bijou de la saison*. Powrócili również do mody bransoletki, ale nie te klasyczne lub w stylu dawniejszym angielskim, to jest ciężkie szerokie, tylko wąskie *porte bonheur*, wszelkich rodzajów, a więc łańcuszki wąskie, gładkie lub nabijane kamieniami różno-kolorowymi, gładkie. obręcze lub przegradzane perełkami, no i t. d. i t. d. Kładzie się je na prawą rękę, naturalnie na rękawiczkę; liczba kabalistyczna powinna wynosić 7, to jest na każdy dzień tygodnia po jednej bransoletce lub dwa naście na każdy miesiąc roku.

Teraz słowo o kostymach spacerowych i wizytowych, w które ubierać się mamy aż do wiosny lub przynajmniej do pół-wiosennego sezonu.

Na ulicę, do prędkiego częstego wyjścia, zawsze *genre tailleur*, a spódnica *trotteuse*. jak dotąd jeszcze obcisła od góry, szeroka u dołu. Suknia taka, dobrze i starannie zrobiona, może służyć na każdą dzienną nie ceremonialną wizytę; jakiś świeży żabot lub krawacik, ładna rękawiczka, trochę strojniejszy kapelusz, to zupełnie wystarcza na odwiedziny dobrych przyjaciół i znajomych. Czasy, u których *na wizytę* kładziono obowiązkowo suknię jedwabną z trenem, minęły zdaje się bez powrotu. To wcale nie przeszkadza, że kostium zupełnie gładki *tailleur* z czarnego grubego matowego jedwabiu zwanego *drap de soie*, dobrze a nie pretensjonalnie zrobiony, jest przesłizny, zawsze modny i w gruncie bardzo ekonomiczny i niezmiernie praktyczny, bo nosić go można od rana do nocy, nawet na nie ceremonialny obiad—nawet do teatru do krzeseł, lub nie bardzo paradny koncert. Znałam podróżujące angielski, odznaczające się zawsze dobrym i przyzwoitym rodzajem ubrania, które w małej podróżnej walizce, miały jeden tylko taki czarny jedwabny kostium i były zawsze bardzo eleganckie.

Tym z pośród moich szanownych czytelniczek, które liczyć się muszą sprawiacząc nową suknię, radzę



Fig. III

obejść się jakoś, posadzanymi spódniczkami, aż do wiosennego półsezonu. Baczne śledzenie za modą, dało mi prawie pewność, że krój spódnicy naszych ulegnie z wiosną dużej zmianie, starają się o to ci *wplywowi* tam... w Paryżu i zdaje się że wywołają tę zmianę, więc lepiej zaczekać!

Figura I. Głowy „travestis“.

A). Pavots „modern style“. Złote obręcze nabijane kamieniami (może być imitacja) ozdabiają wierzchołek głowy i łączą się na samym czole pod kłamarą zwaną *feronières*. Z tyłu po bokach głowy dwa olbrzymie pasowe znaki spadają łącząc się z rozpuszczonymi włosami.

B). Kapelusz z czasów konsulatu. Duży kapelusz z cienkiej słomy, całe rondo przykryte białą szeroką koronką i ozdobione girlandą z róż *pompon*, główka wysoka również przybrana girlandą z róż, przybranie z wstążek *bleu ciel* (według wzoru), na szyi pod samą brodą girlandka z róż „*pompon*“.

Figura II. Kostium *travesti* (Pierrette). Biały atlas *Liberty*, przód spódnicy (odkrywanej stopy powyżej kostek) zlekką nadmarszczony do boków. Trzy falbany jednakowej szerokości, zakończone przy

bokach rzędem białych jedwabnych pomponów. Staniczek bluzkowy przybrany małą draperyą i pomponami. Rękawy odkrywające samo ramię, a kończące



Fig. IV.

się dużą bufą przy łokciu. Olbrzymia rusza na około szyi z białego *mousseline de soie*. Pantofelki niezmiernie spiczaste, z ogromnymi kokardami, kapelusz biały filcowy odwintęty, odkrywa całe uczesanie, ozdobiony dwoma wielkimi *narcyzami*, w prawym ręku mały

wachlarzyk, w lewym gitara przewieszona przez ramię za pomocą białej atlasowej wstążki.

Figura III.

*Tuietu obiadowo-rautowa*. Jasno-różowy *crêpe de Chine*, spódnica z tyłu i na bokach od pasa aż poniżej bioder, w drobne stebnowane składki, z przodu cztery rzędy haftu białego z czarnym. Pasek czarny akksamitny. Stanik bluzkowy wycięty w *careau* zlekką wyrzucony, na piersiach rodzaj sznurowania z czarnej aksamitki zakończonego kokardami *choux*. Rękawy wąskie do łokcia w małe składki, podwójne sznurowanie z aksamitki, na samym łokciu bufka z różowego *crêpe chiffon*. Wysokie perłowe lub fantazyjne *collier chien*. Głowa uczesana w pukle, niżej skroni duża różowa róża *pampon*.



Fig. V.

Figura IV. Kostium spacerowy. Sukno *home-pun*, czerwona *brique*. Cała jedwabna *brique* spódnica pokryta sukieną dużą puszczonej tiunika, brzeg spódnicy i tiuniki ozdobiony wązkim hafcikiem czarnym. Stanik jedwabny spięty na boku na małym sznurowanym plastroniku. Bolero króciutkie, rękawy szerokie od dołu, ozdobione hafcikiem. Kapelusz *brique* z czarnymi strusimi piórami

Figura V. *Tuieta rautowa*. Na całej białej z *crêpe chiffon* spódnicy i staniku, duże *manteau de cour* z jasno niebieskiego aksamitu. Olbrzymi kołnierz *point d'angleterre*, na szyi perły.